



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

SIOSTRA MIŁOSIĘRDZIA.

Ocieżała nademną dłoń Boża;
Do boleści przykuła mię łoża....
Ciało moje płonęło od rany,
Duch się wił, niepokojem targany.

Wśród tej nocy ponurej żywota
Nagle gwiazdka zaśniła mi złota
Nad bezdenną zwątpienia otchłanią....
Jej-to było anielsko-dziewicze,
Jaśniejące dobrocią oblicze;
Ona stała się duszy mej panią—
Lilia moja, czysta i święta!
O, Maryo bez zmazy poczęta!
Módl się za nią!

Bóg mi zesłał ciszy anioła,
Aby chmurę czarną zwiął z czoła,
Zaklął serca namiętne burze
I ukazał zbawienie—w górze.

Uspokoił się duch mój w Panu;
Krzyk rozpaczy, co w głębi łoża,
Ze wściekłością wył huraganu,
W rzewnych łzach i westchnieniu kona.

W grobie-m był—obumarły sumieniem....
Ona mię-to wskrzesiła swem tchnieniem,
Jej modlitwa, owiana zachwytem,
Wzbiła się nad mem łkaniem i zgrzytem....

I opadły niewiary mej pęta;
Ciennie życia mniej skroń mi już ranią....
O, Maryo bez zmazy poczęta!
Módl się za nią!

L. Sowiński.

KOBIETA I DOBROCZYNNOŚĆ.

(Dokończenie)

Historia zorganizowania się Kalwarytek paryżkich powtarza w zupełności to, co było w Lyonie. Pierwszą osadą stowarzyszonych pięciu pań było opustoszałe zabudowanie po szkole przy zbiegu mających się kiedyś zabudować ulic: Rue de la Leontine i Rue Alphonse. Położenie było niskie i raz wody Sekwany zalaty dom cały, uboga ludność okoliczna, złożona z gałganiarzy, nadbiegła wystraszoną kobietom do pomocy. Chorych przeniesiono napręciście do miłosiernego zakładu: *Przytułku Starców*, który wzniosła też i utrzymuje całkowicie dobroczynność kobiety, córki sławnego chemika francuskiego Payen. Uspokojone o los chorych, stowarzyszone usiłowały bronić domu, którego część dolną zabrała już woda. Stawiano jej falom energiczne zapory, aby nie zniosły murów i lud pocziwy czynił wszystko, co było można—darmo zupełnie. Zagrzewał go do tego i przewodniczył mu przy pracy szlachetny i dzielny ksiądz, wikary parafii Grenelle, Raymond. Poprzednio był on wikarym w Belleville i to za czasów Komuny, którą przetrwał nie kryjąc się, nie trzymając wcale na uboczu. W czasie oblężenia Paryża przez Prusaków siedł zawsze na czele wszelkich wycieczek z wojskiem, aby na-

przód zagrzewał go, a potem zbierał i ratował rannych. W bitwie pod Champigny, gdy popłoch doprowadził do ucieczki, rzucił się przeciw uciekającym, zawrócił ich, zorganizował nanowemu w szeregi i prowadził na stanowisko, pomimo to, że znajdowali się w oddziale i officerowie. Ruszając, spotkano przejeżdżającego generała brygady i jeden z officerów zapytał go: w którą stronę należało maszerować? — Za sutaną, bo dobrze prowadzi.... była odpowiedź i tego to energicznego, szlachetnymi uczuciami ożywionego księdza, stowarzyszenie zrobiło swoim kapelanem. Nie zapomniał też tam nigdy duch fałszywej, ciasnej pobożności, zwanej bigoteryą, stowarzyszenie paryżkie nie zwichnęło zasady, którą rządziła założycielka, „bo sutana prowadziła dobrze”. Rok czasu wystarczył, aby stowarzyszenie zapuściło korzenie i rozrosło się na gruncie paryżkim. Kwestarki nie próżnowały, a serca tych Paryżanek, które świat cały oskarża o płochość i lekceważenie obowiązków, nie okazały się zimnymi. Du Camp przytacza wiele przykładów tej najprawdziwszej dobroczynności, która umie odjąć wygodzie, zbytłkowi, używaniu własnemu, aby oddać to cierpiącej ludzkości. Zebrano też tyle, że zakupiono w pobliżu dawnego domu, ale tak powyżej, że Sekwana straszną już być nie mogła, trzy tysiące metrów gruntu i zbudowano wedle wymagań zdrowotności dom obszerny, który zajęto z początkiem 1880 r. Ta, której to było dziełem, bo stanowiła dzieła przewodniczkę, wdowa Lechat, nie weszła w te progi; śmierć ją zabrała w chwili, gdy dochodziła do celu, umarła bowiem dnia 24 Października 1879 r. Znać, że praca jest tu więcej niż ciężką i targającą siły żywotne, bo jeżeli, jak wiemy, *Siostrzytzki Ubogich* dochodzą starości późnej, kosa wielkiej kosiarki przecina życie Kalwarytek w połowie średniego wieku i nie może być inaczej. Oddycha się tu wciąż boleścią i śmiercią. Na dwadzieścia łóżek w szpitalu było w 1882 roku dwadzieścia sześć zgonów.

Doły budynku położonego wśród ogrodu, jeszcze bardzo młodego, zajęte są na gospodarstwo szpitala: kuchnię, aptekę i jej laboratorium, kąpiele, tak bezustannie potrzebne infirmerkom, pokoje do przyjęcia osób przybywających i składy rozmaite. Pierwsze piętro, to Kalwarya: Łóżka dwudziestu istot tak nieszczęśliwych, że obrazy ich nędzy, które Du Camp grubemi rysami pióra szkicuje, budzą przerażenie i wstręt, niepozwalający ich powtarzać. Są też tam dwie sale dla nieszczęśliwych dzieci, dalej kaplica, dalej jeszcze schody, a obok urządzona pochyłość, niby kolej żelazna, po której trumna, tak często tu spuszczana, dostaje się do kaplicy pogrzebowej, do grabarni.

Zaraz ponad szpitalem, bo na drugim piętrze, mieszkają stowarzyszone, stale tu przebywające, panie rezydentki szpitala. Te prowadzą go rzeczywiście; te zajmują się smutną jego gospodarką, czuwają nad chorem, opatrują je i towarzyszą im niejako aż do chwili ostatniej, do tej chwili wszystko kończącej, w której nieszczęśliwe przyjęte zostają na łono wspólnej a najlepszej, boleść iradość jednakowo utulającej, matki ziemi. A trzeba tu dodać, że panie rezydentki nie żyją bynajmniej kosztem zakładu i płacą za utrzymanie swoje. Każda też ma swój pokój oddzielny, w którym urządziła się, jak chce, a gdzie spotyka się u okien kwiaty, w umeblowaniu ślady nawyków i gustów dawnych—wspomnienie pozostałego w tyle życia. Tu jest miejsce odpoczynku i choć chwilowego zapomnienia o ciężącym na barkach brzemieniu; przecież ostry zapach kwasu fenilowego, który z dołu tu bije, przypomina rzeczywistość: życie ofiary i poświęcenia najwyższego, jakie wyobraźnia ludzka przedstawić sobie może, bo istnienie wśród "ciąglego widoku ran najwstrętniejszych, boleści najokrutniejszych, dotykane się ich, łagodzenie, które naprawdę nie ulagodzić nie może, a przytem trudy łamiące ciało i duszę, przytem wciąż po sobie następujące obrazy konania i śmierci! I pocóżby te kobiety miały się obłoczyć w szaty zakonne, po co kłaść na siebie zakonną regułę? I bez tego każda z nich jest ofiarą świętą, jest najdoskonalszą kapłanką Chrystusową.

Trzecie piętro zajmują posługaczki, po większej części dziewczęta młode, bez zasług żadnych, bez żadnej nagrody materyjalnej poświęcające się na pracę ofiarniczą, i tu świętość jest niemniejsza. Tam boleść i osamotnienie doprowadziło serca rozdarte do poświęconej miłości bliźniego; tu oddaje się na ofiarę kwiat młodości, pierwszy rozkwit życia. Noszą one wszystkie ubiór jednakoowy, zbliżony do ubioru nowicjuszek zakonnych, ale taka właśnie szata jest im miłą, taka zadawalna je i dodaje im sił do pracy, bo tu do ofiary miłosiernej doprowadza głównie gorąca religijność, budząca zapał i pragnienie poświęcenia się dla bliźnich przez miłość ideału, pojętego w Bogu.

Panie stowarzyszone lecz niemieszkające w zakładzie, które mają jednak chorych swoich do opatrunku, „dames agrégées“ przybywają z miasta dla pełnienia posługi przyjętej na siebie. Te również są wszystkie wdowy, a Du Camp pisze, że większość ich nazwisk mogła-by być wywołana przez tegosamego herolda, który zwywał rycerzy w szranki turniejów średniowiecznych, lub w szeregi wojen krzyżowych. Wymienił też kilkadziesiąt nazwisk, należących do najstarszych, najdosłojniejszych rodów Francji, i czy to jest skutkiem tradycji rodowych, czy wielkiej pobożności panującej, niemniej między kobietami szlacheckimi francuskiej, jak między ludem wiejskim, dość jednak, że istnieje jakaś siła święta, która magnatkom francuskim każe być pokornymi służebnicami cierpiącej ludzkości. Te panie, tak jak rezydujące w klasztorze, przebywają w czarnej sukni, która jest szatą wdowieństwa, i dopiero na miejscu kładą wierzchem białe fartuchy i długie zarękawki. Każda ma na dole w pokoju obok apteki swoje szuflady na składanie ich tam następnie. Napisy na tych szufladach obznajomiły Du Camp'a z nazwiskami stowarzyszonych, które pozostają pomimo to na świecie, mają swoje domy, rodziny, stanowisko towarzyskie. Opatrywanie chorych, wyjąwszy wypadków szczególnych, wymagających pilniejszego czuwania, odbywa się dwarazy dziennie: o godzinie dziewiątej rano i o piątej po-

łudniu; wtedy stowarzyszone, tak te, które przybywają z miasta, jak rezydentki stałe, spełniają czynność tę jednocześnie, każda wyznaczoną sobie i przyjętą. Gdy Du Camp zwiedzał szpital, zastał pań z miasta dwadzieścia dwie; była to właśnie chwila wizyty lekarza, który bywa przytomny opatrywaniu.

Do najcięższych zajęć pań rezydentek należy zarząd bielizną szpitalną, tą bielizną przerażającą i niezdrową dotyla, że dwarazy dziennie odsyłaną bywa do pralni parowej, aby nie pozostawała w domu, gdzie i tak trzeba czuwać nieustannie nad stanem powietrza, ciągle nasycającego się najgorszymi wyziewami. Dlatego właśnie, że tu sortowanie musi być dokonywane uważnie, że ta bielizna, której sprzątanie jest ogromne, stanowi rzecz wielce cenną, nie oddaje jej się ani infirmerkom, ani posługaczkom innym; panie rezydentki własnymi rękami szykują ją do prania pod rejestrem, i pod rejestrem odbierają następnie. Gdy Du Camp przy wizycie swojej zaszedł do jednej z obszernych sal dolnych, zobaczył trzy Kalwarytki, niegdyś kobiety wyższego świata, teraz jeszcze szlachetnie pańskiego układu, siedzące na niskich stołeczkach i rozdzielające te płótna okropne, względem których powinienby był powtórzyć się cud, jaki spotkał św. Elżbietę węgierską: łachmany te powinny były stać się za dotknięciem tych rąk szlachetnych pękami róż wonnych.

Przynajmniej że sala była przewiewna, wielkie okna stały otworem, a jasne słońce i świeże powietrze, wpływało szerokimi strugami, zalatując wprost od wzgórz Passy, Mont Valérien i zielonych zacięni Łasku Bułńskiego.

Eklezyasta, myśląc o dobrej kobiecie, zawołał: —Pszczółka taka mała, a tyle słodczy zgrodzić może!... Tu przecież trzeba się zadumać nad tą siłą cudowną ofiarniczego zapału i poświęcenia, którą wywołała do życia boleść jednego serca wdowiego. Kobieta nie jest ani istotą niższą, ani mniej od mężczyzny znaczącą wśród świata: tylko jej państwem, jej krainą działania, są dziedziny uczucia i ideału.

Marya Ilnicka.

NA POLESIU

POWIEŚĆ

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

— Hrabiego coś podrażniło?—pytała Stenka.
— Albo ja wiem? powietrze? wiatr? słońce?—kto może wiedzieć co go drażni.

Przez cały dzień Kwiryn potem niespokojnie wołał ludzi, badał o różne rzeczy—gderał, szukał do nich zaczepki i dopiero wieczorem, znużony tą podnieconą czujnością, opadł na siłach, zamknął i drzemać zaczął.

Był to także znak niepożądany.

Nazajutrz, w rozmowie ze Stenką, bez żadnego powodu, co rzadko się trafiało, sprowadził ją na rodzinę swoją, na opuszczenie i krzywdy, jakich od niej doznał w młodości...

Stenka ani się dowiadywała nigdy o tę rozgałęzioną wielce familią, ani jej znała z czego innego, oprócz opowieści, które między służbą i oficyalistami krążyły.

Hrabia zwykle ze wstrętem o nich i krótko przed nią wspominał; teraz zapuścił się w szyderską, nielitościwą charakterystykę i nieszczędną nikogo, opowiadał o nich całą historią.

— Powinnaś ich znać—mówił—przecież, choć oni mnie nienawidzą, bo ja nimi pogardzam, zawsze to familia, od której się odczepić nie podobna—bo to lgnie jak smoła. Gdybym był goły, nie znalazby mnie,—w dzieciństwie też skazali na zatracenie, wygnawszy do Skomorowa; ale grosze

czują! Dumne panky nogi-by lizali, aby ich dostać i stracić na fumi i fantazje.

Nie dla psa kielbasa!—dokończył z szyderskim potężnym, strasznym i przejmującym śmiechem.

Chociaż Stenka słuchając cierpliwie, wagi wielkiej nie przywiązywała do tych zwierzeń poufnych, hrabia tego dnia i następnych ciągle coś dodawał do wielce drastycznej charakterystyki hr. Flawiana, Bernarda i wszystkich wogóle.

Z tych informacji przeszedł potem, z gorączkową wielomównością, do innego przedmiotu.

— Głupi ludzie powiadają: a co to pieniądze? Marna rzecz! Mamona! Ale, ale! Nieprawda—przecie to i narzędzie i broń. Bez nich człowiek na lasce gałganów i bezsilny.

Nawet uczciwym trudno być bez pieniędzy. Dlatego kto ma rozum, powinien się starać o nie, a zwłaszcza ci, co się słabymi czują—kobiety na przykład.

O tem trzeba pamiętać.

— Ja ich przecie nigdy mieć nie będę—rzekła, uśmiechając się Faustyna—a ubóstwo mnie nauczyło obchodzić się małym.

— To wielkie szczęście—dodał hrabia.—Ja dlatego się skazałem sam na dobrowolne ubóstwo—abym i od grosza był wyzwolony i od ludzi.

Co jabym wart był bez pieniędzy?

Po kilku dniach takiej paplaniny niespokojnej, gdy Sochor przyjechał i za puls go wziął—znalazł podnieconym i pogniwał się.

Zaczął wypytować Stenkę, co mogło być powodem do tego. Nie umiała odgadnąć przyczyny. Przyzywał doktor Antka, który ramionami wzruszał i pomrukiwał.

— Nie wiem nic—co ja mogę wiedzieć! On teraz pań wszystko mówi, a ja u niego nie znacze i—tyle.

Tak się Sochor tym stanem pacjenta zaniepokoił, że się odważył mu powiedzieć:

— Wiesz hrabia co? choroba się przewleka, ja sam sobie niedowierzam. Dla przyspieszenia zupełnej rekonwalescencji, pozwól, abym wezwał kollegę. Zawsze cztery oczy, a dwie głowy więcej, niż...

Kwiryn bystro nań spojrzął. W pokoju nie było nikogo.

— Słuchaj—rzekł—nie miej mnie za dziecko. Mów otwarcie, jakieś żołnierz. Jest niebezpieczeństwo? Wolałbym wiedzieć o tem!

Sochor zmilczał, niedając odpowiedzi. Było to wiele znaczącem; Kwirynowi twarz się nie zmieniła.

— Domyslałem się tego—odparł spokojnie.—Sprowadź drugiego—ale to się na nic nie zda.

— Przecież nie jest tak źle!—rzekł Sochor zakłopotany.

— No, to ja ci powiem, że źle jest—odpowiedział hrabia—ja to czuję. Wszystko się we mnie tem leżeniem rozstroilo; gorączka trawi, osłabienie coraz większe, a to, co by miało wzmacniać, drażni, podbudza i ostatecznie niszczy. Nie ma już natura zapasu: wyczerpała się.

Sochor powtórzył raz jeszcze:

— Ale nie—tak źle nie jest.

Skończyło się na tem. Doktor odjechał, zapowiadając, że przywiezie kollegę. Nie opóźniając się też, w parę dni z nim przybył do Skomorowa.

Kollega Sochora, po examinie baczny, starą metodą, naprzód śmiejąc się, choremu oświadczył, że silny jest i będzie jeszcze hołupca w mazurze wybijał, a na stronie oświadczył konsyliarzowi, iż nie spodziewa się uleczenia.

Komplikacja była chorób taka, że jej w tym wieku, życiem czynnem wyczerpany nad miarę, chory wytrzymać nie mógł.

— Trzeba mu ulżyć cierpienia, ale wyleczyć—niepodobna.

— Są cuda—odparł Sochor.

— Te natura czyni, nie my—rzekł drugi. Cud i tu stać się może, ale ja nie mam nadziei, abyśmy my go sprowadzili.

Hrabiego zapewniono, iż teraz będą dzielniejsze środki użyte i kuracja pójdzie szybko; ale oszukać nie było łatwo. Słuchał, nie przeczył, dziękował, ale wiedział z pewnością, że skazany został.

Zahartowany człek, nie okazał po sobie, ażeby go to obeszło. Nie zmienił w niczem postępowania.

nia, może tylko natrętniej się domagał od żony, ażeby przy nim była ciągle.

Czulszym dla niej, starał się teraz być.

W czasie długich niekiedy bezsenności, w gorączce, która nocą się powiększała — upornie powtarzał Steńce takie szczegóły, dotyczące się interesów swych, których ona potrzebowała dla siebie i zastosowania nie rozuriała. Drobniostkowo wyliczał co gdzie miał, jak było schowane. Niektóre summy kazał sprawdzać; o majątkach prawil co w nich, wedle jego myśli, było do zrobienia, aby powiększyć intraty.

Jesień się zbliżała już, a stan hrabiego, i skutkiem pory tej, i ogólnego słabości przebiegu, stopniowo się coraz pogorszał; Sochor przyjeżdżał niechętny, zrażony i nie krył tego nawet przed Steńką, że uratować chorego się nie spodziewa. Siły uchodziły; nie mógł już prawie podnieść się, a pożywienie przyjmował z trudnością.

Steńka, choć z trwogą w duszy, musiała przez litość okazywać mu twarz, jeżeli nie wesołą, to spokojną. Starania jej były jeszcze pilniejsze około cierpiącego, który w końcu nikomu sobie posługiwać nie dawał, oprócz niej. Ona musiała wszystko przynosić, poduszki poprawiać, poić go i karmić. Z gadatliwego stał się milczącym.

Dnia jednego, we Wrześniu, zrana, spokojnie odezwał się do Steńki:

— Nie spowiadałem się na Wielkanoc: niechby wikary przyjechał. Posłać po niego.

Spełniono jego wolę.

Przybył ksiądz wikary, sam się domysliwszy zabrać z sobą, co na wielką podróż było potrzebnem.

Kwiryn wypowiadał się, przyjął Ostatnie Sakramenta, a pogody i spokoju, jaki okazywał w ostatnich czasach, nie stracił.

Czuł nadchodzącą śmierć, lecz żonie ani nikomu nie mówił o niej. We dworze, po majątkach hrabiego, przerażenie było wielkie. Wiedzano już, że żyć nie będzie, wszyscy przekonani byli, że nie zrobił rozporządzenia żadnego; przeczuwano, że familia odziedziczy olbrzymi spadek, w najszczęśliwszym razie coś odepnego dając żonie, która wedle wyrażenia hr. Flawiana, nie była wistocie żoną. Powtarzał uparcie: *Matrimonium ratum*; kanonicznie nieważne.

W tym dniu, gdy hrabia powołał wikarego i spowiadał, jeden z officialistów, prezorony a wyrachowany, pod pozorem jakimś uwolniony się czasowo, ruszył do hr. Flawiana — z wesołą nowiną.

Miano tam już dawniej pewne wiadomości i oczekiwano końca z niecierpliwością.

Zebrała się natychmiast rada familijna, na której tylko jeden hr. Bernard oświadczył, że do niczego się mieszać nie chce, aby po raz wtóry nie wyjść na dudka.

— Nie może być, ażeby człowiek ten mściwy nie zapobiegł wcześniej i nie zaparł nam drogi do spadku. Jest żona.

Hr. Flawian dowodził, że gdyby nawet był testament, musiał być nieważny, a zaprzysięgał, iż go wcale nie było.

— Kapitały są znaczne! to rzecz pewna. Byle oczy zamknął, zaraz jest rozchwyta. Trzeba czuć, on już na śmiertelnej pościeli. Zresztą dowie się, czy nie wszystko jedno. Ja — jadę.

Heroicznemu temu krokowi nie sprzeciwiał się nikt. Hr. Flawian wyruszył po raz trzeci do Skomorowa. W podróży, niezważając na znużenie, pośpieszał tak, pędził, nocami nadrabiał, że gdy stanął przed karczmą znajomą sobie i kazał zapytać — jak się pan ma? — arendarz odpowiedział, iż — źle wprawdzie jest — ale jeszcze żyje.

Hrabia rozłożył się na tem niewygodnym stanowisku obserwacyjnym. Drugiego dnia zapragnął dostać języka. Radzono mu wezwać Antka. Tego nie łatwo było wyciągnąć ze dworu; udało się przecież arendarzowi skłonić go, żeby hr. Flawiana odwiedził.

Przybył zapłakany biedaczysko i niezbyt trzeźwy. Bolesć nie dozwalała mu teraz obejść się bez gorzałki. Stanął w progu jęcząc i wdychając.

— Jakże wasz pan?

— Co tu już pytać! — odrzekł Antek. Jedną panią tylko poznaje. Tylko co nie widać jak skoń-

czy; doktor dnia mu nie daje. Chraپی w piersiach; organki grają.

I rozplakał się stary.

— Mój kochany — rzekł hrabia — wszyscy — śmyśmiertelni. Proszę cię, a pojednał — ze się z Panem Bogiem?

— Był, był ksiądz — odparł Antek.

— No — i pewnie zrobił jakieś rozporządzenie?

Chociaż pan był na śmiertelnej pościeli, Antek przypomniał sobie nakazaną mu tajemnicę. Spuścił głowę, nie odpowiedział nic, ręką tylko w powietrzu coś zakreślił.

Hr. Flawian odetchnął lżej.

— Juściż — byś wiedział? — rzekł pytająco.

Antek mimiką tylko odpowiadał.

— A nie bez tego — dodał hr. Flawian, aby kapitałów nie było....

Sługa wyraził dobitnie, że znaczne się znajdować musiały.

— Któż przy chorym jest?

— Doktor, — pani.

Zamysłony hr. Flawian począł chodzić po izbie. Oczywiście było, że należało sprowadzić urzędnika, któryby w okamgnieniu, po zgonie, wszystko opieczetował.

Przybyły kuzyn tejże nocy wysłał po stanowego do Wołchowicz.

Nazajutrz rano hrabia żył jeszcze, gdy stanowy przyjechał. Zatrzymał go obietnicą wdzięczności hrabia, przyjmując tymczasem i ugaszczając.

We dworze miał już człowieka opłaconego, który natychmiast przybieść obiecał, gdyby co zaszło. Tak eufemicznie wyrażał się hr. Flawian.

Przez cały dzień jednak nie zaszło nic. Stanowy długo oczekiwać nie mógł, ale się dał uprosić.

Nadwiedzior Antek, przypadkiem przybywszy do karczmy, oznajmił, że hrabiemu zrobiło się znacznie lepiej, że odzyskał przytomność, zażądał posiłku i — doktor nawet powziął słabą nadzieję.

Zmuszony cieszyć się tem hrabia Flawian, znalazł się w najprzykrejszym w świecie położeniu.

— Ten człowiek — mówił w duchu — stworzony jest na utrapienie familii. Nawet umrzeć nie umie w porę!

Niezbyt biegły w medycynie, hr. Flawian przypominał jednak sobie wiele, bardzo wiele wypadków, w których takie mniemane polepszenie zwiastowało koniec.

Postanowił więc zatrzymać się jeszcze, chociaż zabawienie gościa, stanowego, było dla niego zadaniem gorszym nad wzięcie emetyku.

Cóż miał robić biedny?

Urzędnik znecierpliwiony, jakby przypadkiem przejeżdżający, poszedł się dowiedzieć do dworu, jak rzeczy stały. Wywołać kazał doktora Sochora.

— A cóż pacjent pański? — spytał.

— Dogorywa — niestety — odezwał się konsyliarz. Dorozumiewam się, że pan tu nie bez myśli przybyłeś, ale — zdaje mi się, że troskliwość twoja zbyt czarna.

— Dlaczego? — spytał stanowy obrażony.

— Wczoraj tu już wezwany przybył Trzaskowski z testamentem i umocowaniem zdania wszystkiego pozostałej wdowie. Zapisał jej cotylny miał i, — zrobił święcie.

— Możeż to być? — krzyknął urzędnik.

— Jak mnie widzisz żywego!

W tej chwili krzyk się dał słyszeć w sypialni. Wybiegła Pakulska, płacząc.

— Umarł! umarł!

W kilka minut potem posłaniec ze dworu dał o tem wiadomość hrabi Flawianowi, który pieszko się puścił ku dworowi, gdy o kroków kilkanaście spotkał stanowego, dającego mu znaki rękami.

— Wiem, wiem i śpieszę — zawołał hrabia Flawian — ale chodź — ze pan, chodź, na miłość Boga, każda chwila droga — kapitały!

Urzędnik głową poruszył.

— Wszystko w porządku! — rzekł.

— Jakto?

— Jest adwokat z testamentem! — odparł zimno urzędnik. — Żona dziedziczy po nim, wszystko a wszystko! Ot, panie, co się zowie ciepła wdówka! Kto-by to był powiedział! Sumakówna! tego, z pozwoleniem, niedobrego córka! a dziś!

— Ale to — nie może być! niepodobieństwo! Infamia! — krzyknął hr. Flawian. — To się na żaden sposób utrzymać nie może! Woła o pomstę do Boga! Skomorów, dobra od lat dwóchset w rodzinie, cała fortuna z nich powstała nasza! — nie miał prawa nią rozporządzać!

Słuchającemu może się na śmiech zbierało, bo w oczach miał drwiny, ale dodał poważnie:

— Proces trzeba wytoczyć — pewnie.

Hr. Flawian, po krótkim namysle, zawrócił ze stanowym do karczmy.

Nie pozostawało mu nic, chyba z kondolencją pojechać do wdowy, lub powrócić z próżnymi rękami do domu. Postanowił zaczekać na pogrzeb, rozsluchać się, powziąć wiadomości, naostatek spróbować: czyby jakim środkiem nie można było skłonić wdowy do ułożenia się z rodziną — bez processu.

Nim pogrzeb nastąpił, hr. Flawian postarał się do siebie wezwać Trzaskowskiego.

Nie obwijając długo w bawełnę myśli swej, hr. Flawian wyraził ubolewanie, że rodzina zmuszona będzie do processu z wdową, chociaż dla uniknięcia skandalu — możeby się do układów skłonić dała.

— Proces hrabiowie wytoczyć możecie — odparł Trzaskowski — ale ja sam pisałem testament, to go znam. Wygrać nic nie możecie.

Jest zaś zastrzeżenie w testamencie, że gdyby hrabina z jakich pobudek coś familii ustąpić chciała, naówczas ta część nie rodzinie, ale na zakłady dobroczynne przechodzi!

Zamilkł hr. Flawian.

— Zawziętość niesłychana! niewdzięczność czarna!

Trzaskowski nie przeczył.

Nazajutrz hrabia Flawian, dłużej już się nie zatrzymując, wyruszył z powrotem do domu.

Nadchodziła już druga rocznica śmierci hrabiego Kwiryna, i właśnie dnia tego ksiądz wikary, wzięwszy od hrabiny dyspozycję co do żałobnego obchodu — odjechał był do Wołchowicz.

Dzień, jak na późną jesień, był wyjątkowo piękny i ciepły, pajęczki snuły swe nici srebrne po łąkach i krzewach, a gospodarze zapowiadali, że, pomimo to wszystko, zima rychło zawitać musi.

Dwa lata! przestrzeń znaczna czasu, a Skomorów pod nowymi rządami, powierzchownie przynajmniej tak się mało odmienił, jakgdyby w zachowaniu mu dawniej jego fizioonomii tkwiła jakaś myśl pobożna póższanowania przeszłości.

Stary dwór, wcale powierzchownie niezmienniony, nie powiększony — stał jak był, pokryty nowo tylko, z oknami lepszymi, trochę czystiej i staranniej utrzymany. Grzęda kwiatów siedziała pod oknami, świeżo zasadzone bluszcze i wino dzikie poczynają się spinać na ściany.

Podwórze, obwiedzione prostymi drewnianymi sztachetkami, miało parę zasadzonych klombików; budowle otaczające dwór, schludniej wyglądały, pobielone i poobsadzone.

Był to tensam Skomorów, ale ręka niewieścia dotknięciem swem uczyniła go, przy całej prostocie, prawie pięknym, a przynajmniej oryginalnym.

I ciszej a spokojniej tu teraz było niż przedtem. Gorączkową bieganinę bosej a odartej służby, zastępowały mierzone kroki ludzi skromnie ale czysto podziewanych, idących swobodnie do swoich zatrudnień.

W pewnej odległości za dworem, pomiędzy nim a wioską, widać było nowo-wystawiony porządnym dworek z ogródkiem, świeżo zasadzonym, opasany prostym płotem. Z komina ponad nim słup dymu się unosił, a w ganku stał właśnie w dostatej kapocie i czapce baraniej, mężczyzna dobrze niemłody, w którym Antka poznać było łatwo. Ale, był to, nie ów stary, popsuty tyran — nieboszczyka, intrygant — tylko spokojny emeryt, który się do portu dobił.

Na twarzy też jego wypełnionej, świeżej, choć pomarszczonej, malował się spokój człowieka, który nie potrzebował zbyt troszczyć się o jutrzejszy chleba kawalek.

Drogą od wsi właśnie, na tegim koniu, w lisiurce, z fajeczką w ustach, jechał, jakby odmłodzony — pan Dyonizy Sumak. Na nim też te dwa la-

ta większy wywarły skutek, niż na dworze Skomrowskim. Znać było byt dobry — i, jakby ustakowanie, jeżeli w człowieku tego wieku godzi się tak nazywać wpływ, jaki wywiera dostatek i lepsze towarzystwo. Sumak był może w gruncie tym samym, jakim go widzieliśmy dawniej: żyły w nim nalogi złe; ale musiał się miarkować, przybierać postać porządnego człowieka, a często przymus taki i na stan duszy oddziaływa zdrowo.

Ojciec pani hrabiny, którą szanowali wszyscy, musiał też siebie szanować, aby go się córka nie wstydzila. Z całem swem przywiązaniem do ojca — była surową: być musiała.

Zobaczywszy nadjeżdżającego Sumaka, Antek, który dawniej był z nim jak z równym sobie a nawet go za coś gorszego od siebie miał — podjął barankową czapkę i pozdrowił uprzejmie.

Co to-bo się zrobiło z tego obszarpanego, w starej odzieży, z twarzą obrzękłą i zarosłą p. Dyonizego! Wygolony czystością, z wąsem do góry podkreśnionym, w czapeczce nabakier, w lisiurce na piersiach sznurami spiętej — pan Dyonizy nie był bez pewnej pretensyi do elegancyi, a trzymał się z rycerską miną na koniu.

Spostrzegłszy Antka, ściągnął cugle i zatrzymał się.

— Jak się masz stary! — zawołał.

— Padam do nóżek p. Dyonizego!

Sumak się uśmiechnął.

— No — rzekł żartobliwie — czekam zawsze, abys mnie na wesele zaprosił. Cóż tam słyhać o niem? Ludzie głoszą, że, mimo szóstego krzyżka, chcesz się ożenić?

— Cóż to? szóstego krzyżka? — zabelkotał podchodząc Antek. Naprzód, kto to może wiedzieć, ile ja mam krzyżyków, kiedy *mentryki* nie ma, bo się spaliła. A, choćby, dajmy, i szósty się pisał, a siwy włos — to i młodym się trafia, albo to ludzie w siódmym się nie żenia?

— A, co potem? — zaśmiał się p. Dyonizy. Jakbyś ty dał dobry przykład, to — kto wie? ja wdo-wiec, możeby też...

— El el! — przerwał Antek. — Jasnie pani na to, z pozwoleniem, głupstwo nie pozwoli.

Pokręcił węża p. Dyonizy.

— Nie wiesz co się we dworze dzieje, bo ja przez cały dzień lasy objeżdżałem? — odezwał się do Antka.

— Cóż ma się dziać? — odparł stary sługa, ujaśnie pani wszystko jak w zegarku. Nowego nie ma nie nigdy. Zrana około swojego gospodarstwa i ogrodu pani się krząta, albo najrzy, jak ta panna z Warszawy edukuje pannę Marysię, potem koło krosienek, czasem na wieś spacerem. I po wszystkim!

Wikary był zględem nabożeństwa za nieboszczyka.

I Antek westchnął.

— Nikogo więcej.

— A, żywej duszy. Zkąd-że, kto ma przyjechać? Grafini znajomości nie robi, a drudzy, choćby chcieli się poznać — nie śmia.

Wtem p. Dyonizy, obejrzawszy się — dodał:

— Myślałem, czy z Wołchowicz ta Boruchówna znowu nie przyjeżdżała, bo, slysze jest u ojca.

Tu p. Dyonizy tak się zzymnął, że aż koń mu się zachnął. Więc, batożkiem go poskromiwszy i zmusiwszy stać, mówił dalej:

— Mnie-bo passye porywają, że ta arendarza córka takie sobie tony daje, że hrabinę odwiedza i pozwala sobie być za pan brat. Reflektowałem już Stenkę, że to nie uchodzi, aby ją na kanapie sadziła na pierwszym miejscu, ale ona, jak się w czem uprze — nie ma rady. Cóż za dziw potem, że u niej ludzie nie bywają! Sama winna, jak Boga kocham!

Antek słuchał, ale patrzył na stronę i wcale się nie odezwał. Pan Dyonizy zaś, któremu na sercu tak okoliczność ta leżała, a nie miał się przed kim o niej rozgadać, burczał dalej:

— Boruchówna jest w Wołchowiczach, bo mi mówił o tem Joś, a on-by nie skłamał: więc tylko co nie widać, będziemy ją tu mieli.

Widziałeś ją?

Antek głową tylko potwierdził.

— No, proszę cię, niktby się w niej nie domyślił Boruchówny. Jak siadzie na kanapie, jak wżmie konwersować! czysto najlepsza obywatelka,

albo i grafini; ale, niech co chce będzie, ja jej w rękę nigdy nie pocałuję... skłonić się — skłonię.

Zaturkotało w tej chwili, oba rozmawiający odwrócili oczy ku gościncowi i Dyonizy zawołał:

— O wilku mowa. Toż ona pewnie. Konie pociągowe z Wołchowicz: tego co na przyprzążce srokatego, znam. No — i bryczka od Sochora pożyczona.

Wistocie, widać było kobietę młodą, siedzącą w spuszczonej bryczce i wesoło rozglądającą się do koła.

Była to Estera.

W oknie dworu ukazała się wyglądająca ciekawie twarz niewieścia, a nim przybyła wysiadła, w ganku na nią Stenka czekała.

Była to ta Stenka biedna, blada, smutna, przybita, czy z tej chryzalidy rozwinięta istota nowa?

Wiele bardzo pozostało w niej z przeszłości: najpierw piękność raczej rozkwitła niż zwiędła; potem smutek jakiś, który nigdy może się nie miał zetrzeć z oblicza; lecz przybyła do tych dwojga spokojna powaga niewiasty, która się szanuje i szanować każe.

Owo dziewczę biedne, miało teraz, jakby z tytułem i dostatkami przelaną arystokratyczną cechę, może trochę sztywną i pamiętającą na siebie — lecz przypadającą do jej piękności i smaku.

Strój hrabiny był wprawdzie świeży i staranny, lecz niezmiernie prosty, jakby naumyślnie niczem niebijący w oczy. Miała na sobie jeszcze suknię czarną, wydającą się jak żałoba, i biały kołnierzyk. Głowa odkryta, z pięknym bujnym włosom, oprócz gładko przyczesanych ciemnych warkoczów, innych ozdób nie potrzebowała.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Czerwca 1883 r.

Ciężkie dni — Kraszewski; powrót z Francji i uwięzienie. — Hr. Andrzej Mniszech i ostatni portret nestora. — Godebski i popieranie. — Andriolli i paryżkie ilustracje. — Uczczenie pamiątki pobytu Kraszewskiego we Francji w 1883 roku. — Tutejsi wirtuozi pióra: Renan i jego wspomnienia młodości. — Wiktor Hugo i tom V *Legendy wieków*. — Jeszcze pani Adamowa (Julietta Lamber), i nowa jej powieść *Poganka*. — Poświęcenie i tego dosyć. — *Panna du Vigean*, nowa komedia w jednym akcie, przez pannę Armand, w Teatrze Francuskim. — Epilog starej anarchicznej komedii. — Sąd i wyrok na Ludwiku Michel. — Wystawa ikonograficzna J. J. Rousseau.

(Dokończenie).

Drugim wirtuozem, ale w innym rodzaju, jest stary peta Wiktor Hugo; jeżeli styl Renana, można porównać do słodkiej, przyjemnie kołyszącej melodii na flecie — to Hugo przedstawia całą orkiestrę, mosiężnych, dętych instrumentów... A jakkolwiek potężne są jego zasoby muzyczne, jakkolwiek jest wielką biegłością i wprawą mistrza: przecież przyznać należy, że to są tylko popisy spadków, kadencji, i że prędko znużony czytelnik woła w niebo głosy: „Dosyć! ach dosyć!”

Oto jest tom *piąty* tej muzyki przyszłości — okładka powiada: ostatni; daj to Boże! *Legendy wieków* ciąg dalszy. Zaledwie wyszedł na świat a zdaje się, że już tak zgrzybiały, jakgdyby był współczesny bohaterom swoim... Byłoby to ubliżać czytelnikom naszym i samemu poecie, gdybyśmy nie śmieli powiedzieć tu całej prawdy. Ta nowa książka nie jest to, ani poezya, ani nawet propozycja; nie jest to dzieło, ani natchnienie, ani rozwagi — jest to sztuka rymotwórcza. Ogromny sznur nawleczonych paciorków, a między nimi są i rzadkie perły. Ale wszystko to pozbierane bez ładu, bez sensu, i rzucone na pastwę publiczności, jakby wskutek jakiego zakładu, albo głębokiej ironii, przypominającej owe to słowa z *Nôtre Dame de Paris* i — z Ewangelii „Margarytas ante porcos...”

Jest tam w tej nizance pewien rodzaj jakby odrębnego poematu, pod tytułem: *Cztery dni Elcüs'a*. Już samego tytułu dosyć; a przeczytawszy znajdujemy tu rymowany podręcznik obelg, wszel-

kiego rodzaju, obelg nędznych, oklepanych, ale zwykłych staremu poecie, odkiedy stał się przeciwnikiem papieżów i królów...

Patrzeć na dzieła i rzeczy przeszłości jako na wielkie śmieciisko ludzkości; zapominać z namysłu co one stworzyły i wydały dla oświaty wspólnej; jednym pociągami pióra wymazać wieki całe w historii ludzkości: jest to przekręcać i przekręcać i przetwarzać historią w sposób niegodny, nawet najpodlejszego wyrobnika pióra — w sposób poniżający tych nawet, których poeta chce być przewodnikiem.

Pomysł i utwór tego Elcüs'a, jeżeli to można nazwać pomysłem — jest tak dziwaczny i śmieszny, że zdaje się znamionować doprawdy czas, gdy już zdzieciniały poeta stracił wszelką wiarę i wszelkie uczucie, nie tylko piękna, ale nawet zdrowego rozumu.

Scena tych czterech dni odbywa się w Weronie za cesarza rzymskiego Otona III-go, a więc w ostatnich latach X-go i na początku XI wieku. Ten Elcüs, postać jak mówiłem dziwaczna i śmieszna, jest jakby chodzącym, żywym dykionarzem uzbieranych przez poetę rymów... Występuje on tu w roli, miotającego *ex-professo*, obelgi, wobec cesarza i na cesarza i jakież obelgi! najdziwniejszą salatę, jaką mógłby przyprowadzić, młody gryzmoła w przystępie szału.

Nie ma tu co mówić nawet, o prawdziwej historycznej, lub o zachowaniu miary w sądzie i w wyrokach. Występują tu na scenę ludzie i rzeczy ze wszystkich czasów i wieków, zmieszani w czambuł jak groch z kapustą. Widzimy tu, naprzykład: Farnezyusza z Parmy, obok Viscontiego z Mediolanu — kiedy wie przecież każdy, że rodzina Farnezych ukazuje się w Parmie w XVI-ym dopiero wieku; a Viscontich imię dopiero w wieku XIII-ym zaczyna być znane w Mediolanie. Ten sam zresztą encyklopedyczny Elcüs, lając cesarza, zarzuca mu, że nie ma rozumu, za pierwszego lepszego doktora z Sorbonny — z Sorbonny? która założona została dopiero w 1253 r.

Ale po co tu zbierać daremnie te wykroczenia przeciw prawdziwej historycznej, kiedy to jest zmyślenie — licentia poetica! Prawdziwy Elcüs, to francuski senator, to sam Wiktor Hugo. — Obelgi rzucane na olbrzymią postać władcy Otona, przelatują mu nad głową jak muchy, i padają na jasną twarz wiary — wiary we wszystko, co jest piękne, dobre i wielkie — tej wiary, w której żywotnej i potężnej piersi, dziewiętnaście wieków życia ludzkości, piło siłę i potęgę swoją!..

Niegdyś p. senator myślał również jak my w tej mierze. Wierzył i śpiewał pieśń nieśmiertelną — pieśń, która i dziś stanowi chlubę i wielkość Wiktora Hugo; a teraz, popchnięty w jakiś polityczny odmet, brnie w jego brudnych i stęzających mętach, trzymając się z trudnością na ociężałych od starości i chwiejących się nogach.

Nie skończymy dokładnie z wirtuozami, jeżeli nie powiemy słów kilka, o słynnej dyrektorce *Nowego Przeglądu* (La Revue nouvelle) pani Adamowej — a raczej o jej książce pod tytułem: *Poganka*, „La Paganne”.

Dotąd z tej książki, z tej powieści, która się miała ukazać na świat, już temu dni piętnaście, a której dziś jeszcze nie widać na półkach księgarskich ¹⁾, publiczność zna jedynie tytuł i przedmowę w formie poświęcenia. Krótkie są jej słowa, ale dostateczne dla nas; bo miarkując z wyrażen tej epistoły babuni, aby rozbić jej powieść kiedy wyjdzie z druku, musiałbym najprzód otrzymać zezwolenie redakcyi „Blusczu”. Raczcie osądzić sami: poświęcenie brzmi w następnym sposób:

„Panu Alexandrowi Dumasowi (synowi).

„Tobie jednemu tylko, mój drogi przyjacielu, mogłem poświęcić tę „Pogankę”.

„Może się ona nie podoba tobie, bo jest ubóstwieniem miłości; ale znajdziesz w niej podwójny prąd; mistyczny i cielesny, a to wyobrażam sobie, będzie dla ciebie ciekawych spostrzeżeń przedmiotem...” (kto się ciemno tłómaczy tensam siebie nie rozumie; ale oto przychodzi światło).

„Mówiąc politeracku, książka ta jest śmiała. W ciasnej dolinie, gdzie Petrarka unieśmiertel-

1) Dziś właśnie wyszła.

nił miłość platoniczną, jam się ważyła opisać miłość: gorącą, wzajemną, opętaną“ (bo tak należy zdaje się tłumaczyć francuskie: *ardent, échangé, possédé*).

„Jeżeli to świętokradztwo obrazi cię kochanka Laury, niech mi przebaczy; ale miejsce obrane przezeń każe mi właśnie to świętokradztwo popelnąć.

„Wokluzą, której spalone czeluście służą za czaszę dla Sorgi¹⁾ o bujnie zarosłych brzegach, której źródło, pieczara poświęcona przez Fenicyan, skrywało w swym wnętrzu *bożka płodności*, jest właśnie stworzoną, aby służyć za ramy, dla innej wcale namiętności, niż idealna miłość!

„Nie są to więc sonety, które ci przynoszę w darze — ale pieśń miłosna: pieśń zarazem boska i ludzka.

„Jakkolwiek osądzisz Poganę, przyjm stać się jej kumem — i wierz starej już mojej przyjaźni dla Ciebie“.

„Julietta Lamber“.

Jak na babunię, przedmowa ta jest podkasana aż na zbyt, i widzicie sami, że możemy poprzestać na tem i nie iść wcale do książki — chociaż ta się na koniec ukazała na świat.

Kiedy szanowna Julietta Lamber chce na tle teokrytowych sielanek rozpalic ogień gorącej opętanej miłości, wygrzebanemi okruszynami węgli, w starych, erotycznych popiołach — panna nazwiskiem: Simone Arnaud, (jest to Pseudonym osoby wyższej nobilitacji), jak ewangeliczna Marya, lepszą część wybrała sobie od Marty i przynosi nam wdzięczny bardzo obrazek serca, które, uciekając właśnie przed tą *opętaną miłością*, szuka w klasztornej zaciszy zapomnienia i opieki przeciw tym skwarom płomieni.

Dzieło panny Arnaud jest to komedia pod tytułem: „*Panna du Vigean*“, osnuta na prawdziwym i historycznym podaniu, napisana wierszem, w jednym akcie, i przedstawiona poraz pierwszy na teatrze Komedyi Francuskiej we Czwartek d. 28 Czerwca.

Panna Arnaud — jest to czterdziesta z rzędu kobieta-autorka, występująca na scenie tego teatru od czasów jego założenia, to jest: od roku 1680. Ostatnią była p. de Girardin, w r. 1854; komedia francuska przedstawiła wówczas to arcydzieło talentu, delikatności i uczucia, które się zowie: „*La joie fait peur*“.

„Panna du Vigean“ napisana była pierwotnie w 3-ach aktach — ale idąc za radą swej protektorki p. Adamowej (Julii Lamber), panna Arnaud sprowadziła swą sztukę do 1-go aktu — i to zmuszone ściśnięcie uczuć się daje, pomimo doskonałą grę aktorów. — Ale prawdę trzeba powiedzieć, że łatwiej jest wejść na scenę nieznanemu autorowi z jednym niż z trzema aktami.

Jakkolwiekby, nie braknie zalet temu wystąpieniu, a jeśli autorka, która, powiadają, ma gotowe w swej tece dwie inne sztuki: „*Karmaniole* i *Joannę Grey*“ — zostawiona własnemu natchnieniu i unikając rad i opieki obcej, pójdzie swoją, dobrze zrozumianą, drogą — można jej wróżyć powodzenie i świetną przyszłość.

Panna du Vigean przedstawia nam republikańską niezależność serca i spartańskie cnoty, rzadko praktykowane dziś, a rzadziej, niestety! w o-wym w. XVII we Francji, kiedy królował Ludwik XIV. Autorka, aby zaprowadzić swą bohaterkę, niewinną i czystą do Karmelitek, musiała nawet pogwałcić historję. Ale tu cel usprawiedliwia środki.

Kondeusz, sławny, wielki Kondeusz, kocha się w p. du Vigean. Ale Kondeusz jest książęciem krwi, a nawet już żonatym. Panna du Vigean nie chce tu odegrywać innej roli, mimo swą miłość dla bohatera, jak tylko małżonki: położenie zatem musi się rozwiązać szybko i gwałtownie.

Po śmiertelnej chorobie Kondeusz powstaje z łóżka, a widząc, że nie może pokonać skrupułów kochanki, idzie walczyć z nieprzyjacielem: Bellona było zawsze najlepszym plastrzem na miłosne rany. Wyprawa się powiodła; Kondeusz zdobył Friburg i okrył się sławą; miłosne zapaly z dymem uleciały!

Wówczas panna du Vigean, bez skargi, bez wyrzekania — schyla pokornie czoło, odrzuca wszelkie inne propozycje małżeńskie, i w kwiecie lat i wdzięku idzie do klasztoru Karmelitek przy ulicy Św. Jacka.

Można tu skończyć, jak skończył Mickiewicz swego Wallenroda:

„Taka pieśń moja Aldony o losach“...

Sztuka, odegrana wybornie, przyjęta została rzesznymi oklaskami bardzo sympatycznej publiczności, dla osoby i talentu punny de L..., przepraszam Arnaud.

Mieliśmy też nakoniec i epilog innej wcale komedyi. Są to również kartki z historyi działalności kobiety. Ale jakiej kobiety?.. Epilog ten smutny a wstrętny i surowy aż nazbyt, jest to wyrok trybunalski w sprawie słynnej Lud. Michel.

Po trzymiesięcznym więzieniu, po dwugodzinnej osobistej obronie przed sądami krótkimi, i jakiegóż obronie! Wielka Ludwika, potępiona przez sąd przysięgłych, skazaną została, wyrokiem trybunału, na sześć lat więzi i dziesięć lat dogładu, wysokiej czy wyniosłej. Bóg to wie, *de la haute police*. Sąd uznał ją winną grabieży z bandą łotrzyków.

Czy ten sądowy epilog jest ostatnim aktem tego zmaconego do gruntu żywota, biednej opętanej kobiety? nie wiem; ale odpowiedź, jaką osądzona dała prezesowi trybunału, zdaje się zapowiadać, że jeśli Bóg życia dozwoli, dalszy ciąg nastąpi.

Oto jest ten krótki dyalog dwóch osób. Prezes trybunału, p. Ramé, zawiadamia, według zwyczaju i regulaminu, potępionych, że pozostają im trzy dni do założenia *appellacji* od tego wyroku.

— Nie ma potrzeby — odpowiada na to Ludwika Michel, z uśmiechem — wasz wyrok dobrze się zasłużył cesarstwu...

— Niech żyje Ludwika Michel! Śmierć przysięgłym! Lud ją uniwinia! — wrzeszczy na całego gardło stojąca w głębi kupka anarchistów.

Według nadesłanej nam metryki Ludwika Michel, a dobrze jest zapisać to do kroniki — zaczęła białogłowa urodziła się 29 Maja 1830 r., we wsi Vroncourt, w departamencie Wyższej Maryny, z ojca nieznanego i z matki, panny pokojówki, w domu posiadaczów zameczku de Vroncourt. z nazwiskiem Maryi Anny Michel. Dziś więc ma lat 53 i wie zapewne co robi!..

Już anarchiści i cała przeświecona socjałka, rusza się i czyni kroki, o ulaskawienie zbyt surowego wyroku trybunalskiego. — Czy to nastąpi? trudno jest przewidzieć — w każdym razie, nie nawiele posłuży. Była już Ludwika w kowie wersalskiej, w Kajennie, jest u Św. Łazarza. — I cóż z tego?..

Jeszcze jedna wystawa zaciągnęła mnie w swe progi: wystawa ikonograficzna J. J. Rousseau.

To także był wirtuoz, jak wiecie. Przypomniałem sobie, że ten ideolog szwajcarsko-francuski, pisał kiedyś konstytucję dla Polski i poszedłem jej szukać. Ale, niestety! znalazłem: łóżko, szafkę i stolicek, jakich tu byś z latarnią daremnie szukał; brzydkie te drewniane mebelki mają zresztą minę okropnie podejrzaną fałszywych, późniejszych daleko rupieci. — Odwróciłem się więc z pogardą.

Sciany ogromnej szopy pokryte są rycinami; są to ilustracje dzieł tego pisarza; zapewne bardzo kompletne, ale cóż z tego? rzeczy arcy-znane. Jest kilka jego portretów, z tych portret pastelem robiony z natury, przez sławnego malarza *La Tour*, ma prawdziwie podwójną wartość: i historyczną i artystyczną; reszta są to albo portrety robione przez malarzy małego talentu, albo kopie dość liché. Tożsamo powiedzieć można o popiersiach z wyjątkiem jednego znanego wszystkim dzieła snycerza Houdon'a. Przez tegoż maska gipsowa, zdjęta zaraz po śmierci z twarzy Rousseau'a, również na uwagę zasługuje.

Nakoniec, pod szkłem, dużo medalów, małej bardzo wartości, bitych na pamiątkę Rousseau'a kilka pieczęci i drobiazgów małej wartości, i kilka rękopisów: „*Nowej Heloizy*“, „*Kontraktu Społecznego*“ i kompozycji muzycznych. Ale o konstytucji ani słyhu! Czekajmy! może i to będzie z czasem.

Z APENINÓW

Dnia 1 Lipca 1882 r.

Rzym i wogóle miasta włoskie, nawet *Gród kwiatów*. Florencia, są już o tej porze tak puste, tak wyludnione, jak w żadnym innym kraju Europy. Willegiatura ma tu stare, zakorzenione tradycje jeszcze z czasów Mecenasa i Horacego; przytem człowiek przez instynkt zachowawczy ucieka, skoro tylko może, z tych pieców rozpalonego marmuru, a natura ma też tutaj nad nim moc ponęt, trudnej do zrozumienia dla ludzi Północy. Ubóstwienie jej, mitologią starożytnych, pojąć można dopiero wtedy, gdy się na tym tu gruncie stanie, gdzie nawet tobie, coś się rodził w wieku XIX-tym, nimfą się wyda każda wiejska dziewczyna, prosta, kształtna jak posąg, z wysokim dzbankiem na głowie, oburącz trzymanym, gdy odchodzi od źródła, szmerzącego wśród festonów bluszczy i dzikiego wina. Więc też i ja zrobiłem jak inni: uciekłem z Rzymu w Apeniny, o których życiu i mieszkańcach napisać można stokroć więcej nowych i zajmujących naszego czytelnika rzeczy, niż wtedy, gdy się kreślił obraz miast, których każdy kamień był już po tysiące razy oglądanym, opisywanym długo i szeroko. a w fizjognomii Włoch nie ma dla cudzoziemca silniej uderzającego, oryginalniejszego rysu, jak małe miasteczka i wsie rozsypane między górami, a raczej po górach. Żadne góry w taki sposób obsiadłe nie są; wszędzie ludzie, skupiwszy się w gromadkę, mieszczą się w dolinie, trzymając się zwykle pobliza drogi jakiejś, która ich ze światem łączy. Jest tak nawet w Szwajcaryi, w tej krainie urodzonych górali, i obyczaj ten zrozumiałym jest zresztą; niemniej wioska położona u stóp gór, wydaje się oczom, podróżnika wraz z jej mieszkańcami czemś podobnem do roju pszczoł, które myśliwiec wśród Białowieżskiej puszczy odkrywa w dziupli drzewa. Człowiek niknie wobec olbrzymich mas, które się dźwigają wokoło niego i wydaje nieskończenie drobną istotą a jego sprawy — sprawami ula pszczelnego. Wsie alpejskie, położone na trzy, cztery, pięć tysięcy stóp po nad poziom morza, wydają się jeszcze zakopanymi w dole, pobawionemi słońcem i powietrzem, gdy się je widzi wśród krajobrazu górskiego, wśród wierzchów i turni, panujących ponad nimi. W Apeninach efekt jest zupełnie inny, bo też innym zupełnie jest obyczaj osiedlania się tu ludzi. Na jedną wioskę w dolinie masz dziesięć patrzących na nią dumnie z wysokości tysięcy, dwóch tysięcy stóp powyżej. Jeżeli też dziesięć jakątką drogą, która cię przez ową dolinę prowadzi, to na prawo i lewo zostawiasz dwadzieścia, trzydzieści takich siół górskich, które tylko pieszy człowiek i to śmiały góral, lub mocny w nogach osioł górski dosięgnąć może. Bo też istniały tu już one, te orle gniazda Rzymian, te jastrzębie gniazda lombardzkich wodzów, zanim zrobiono tu drogi jakiegokolwiek i każde z tych siedlisk ludzkich, dźwigających się na palonej słońcem wysokości, to wszystko udzielne państewka, stare, rządzone silną dłońią rycerskiej prawicy, która wyniosła rzucała swój miecz na szalę publicznych spraw Italii z taką samą zazdrością i w swojej samodzielności zacięta dumą, jak miasta dolnego kraju. To też w tych niby pierwotnych jarach i wąwozach, wrzały przed wiekami wojny, których tylko nie zna historia i są one pełne wspomnień bohaterstwa i wielkich czynów, jakkolwiek powtarzają je jedynie echa górskie, odbijając od skały do skały.

Stary to wszędzie grunt i od wieków przetrwiony krwią i potem człowieka. W arcybiskupim archiwum w Lucca znajduje się dokument z wieku X-go, wymieniający bardzo wielką liczbę wsi górskich z nazwiska, jakie noszą do tej pory, i zaznaczających istnienie ich przed dziesięciu wiekami w tył, co nie zabrania wyobraźni, aby nie szukała ich początku nieskończenie dawniej. Uważają je też ogólnie za pochodzące z czasów kolonizacji rzymskiej, co szczególnie w Apeni-

1) Mała rzeka, wypływająca z tych źródeł.

nach Pistojskich, potwierdzają nazwisko wyraźnie łatyńskiego pochodzenia. Bardzo wiele kościołów jest z dziesiątego, z dziewiątego wieku; stanowią one ciekawe zabytki lombardzkiej architektury, a uważają je za dzieło wędrownych budowniczych, zakonników z Como. Taka starożytność tych wiosek i miasteczek czyni je ciekawymi, nie tylko dla badacza dziejów włoskich. Jak ludzie, którzy tu żyją, wśród otoczenia mało zmienionego, a nawet niezmienionego nie wcale od czasu Wieków Średnich, wytrzymują zmiany, którym ulegał świat cały za dzieło psychologu. Postępując gościńcem, który, zostawiwszy poza sobą żyzne równiny Lucca, przeni ka przez dolinę Serchio i dolinę Lima do serca Apeninów, znajdujemy się naraz wśród okolicy która, nie tylko jest zupełnie niezgodną, tak pod względem kultury, jak obyczajów, z dolnemi Włochami, ale kłóci się tak samo ze wszystkimi górzystymi krainami świata—przynajmniej, które ja znam. Jeszcze z początku, przez kilka pierwszych mil, przejeżdża się przez łąki, rzadko rozsiane wioski i osady ludzkie, ubogie, zamieszkałe przez klasę najniższą; ale wkrótce zaczyna się samotność zupełna, mieszkań ludzkich nie widać już wcale, a lasy kasztanów zastępują wszelką inną uprawę. Żaden dwór pański nie ukazuje ci się pomiędzy drzew, bo tu wieśniak jest od niepamiętnych czasów właścicielem uprawianego gruntu, i szlachty wiejskiej nie ma tu wcale, kto by zaś chciał się doszukać mieszkań drobnych dziedziców tych posiadłości, musiałby puścić się drożynami, a często ścieżkami tylko, które udeptały nogi bose. Czasami gościńiec wiedzie cię niby aleją pyśnych starych drzew, ale widoczny brak jakiegokolwiek śladu życia, w warunkach cywilizacji, nie dopuszcza myśli, aby te drzewa były sadzone kiedykolwiek dla ozdoby krajobrazu. Powyżej, na dwa tysiące stóp ponad doliną, gdzie się już kończy strefa lasów, grunt okrywa się pyszną zielenością niższego gatunku roślinności, mnóstwo strumieni i strumyków wije się z góry w dół, szemrząc i szumiąc wśród bujnie zarosłych brzegów, i zieleność, która odziewa tu skałę, kryjącą się już spodem, i łagodzi jej ostre kontury, wygląda jak aksamitna szata, którąby rzeźbiarz zarzucił na bryłę nieocieszanego jeszcze marmuru.

Środkiem, między alpejską strefą hal a doliną, mieszka ludność tych gór, nierozrzucona przecież po pojedynczych folwarkach, wpośród sadów i winnic swoich, ale tworząca wsie, które podróżnemu, jadącemu gościńcem, ukazują się przypadkowo. Widziane tak powyżej wydają się dziwnie pięknymi, szczególnie w swoim rodzaju, oryginalnej piękności: to zawieszane na przepaścistej skale ponad lesistym wąwozem, to otaczające skalisty szczyt wyżyny gżemsami błyszczących murów, dachów i wieżyc; albo jeszcze zbudowane na wysoku granitowym, tak wązkim, że wydaje się on liną napowietrznego tancerza, zawieszoną nad przepaścią. A każde z tych siół jest wybornym punktem strategicznym, bo zwykle panuje nad okolicą i gdyby mu dać odpowiednią załogę, byłaby to twierdza mogąca być zdobytą przez głód jedynie. Ujrzyć je, znaczy to samo, co być kuszonym w sposób najwyższy, aby tam się znaleźć, być tam, dowiedzieć się dziejów tego świata, oddzielenego niejako od ludzkości całej. Ten, kto nie lekając się drogi, bynajmniej nie wygodnej, bynajmniej nie łatwej, porwie się na to przedsięwzięcie, trudu swego nigdy żałować nie będzie.

Każdy krok pod górę, wśród cudownej atmosfery tych miejsc, dodaje im czaru nowego, nie tylko przez rozszerzenie widnokręgu, ale przez coraz większą głębokość płynnego medium — powietrza, które wszystkie przedmioty widziane teraz z góry, transfiguruje ci czarodziejsko. Długie linie wzgórków, zarosłych kasztanami, zdają się falować ci przed oczyma, i to w miarę jak ty sam posuwasz się wyżej, zarysy tego falowania stają się głębszemi, lesiste wąwozy oddalają się od wzroku twego, w jakąś coraz-to dalszą przestrzeń powietrzną, a bliższe już szczyty spalonych słońcem granitów rosną ci nad głową w kształty coraz-to wysmuklejsze. Obok tego Alpy Karraryjskie, widziane przez ten błękit magiczny, za jasne, za delikatne, abyś uwierzył, że są to ziemskie skały, ziemski kamień—w zarysach swych znowu zanad-

to wyraźnie i mocno rzeźbione, aby je wziąć było można za chmury, stoją wśród eterycznych przezroczy, jak duchy gór jakiegoś dawniejszego, niż nasz świat. A tymczasem ta wieś, ku której dążysz, to w miarę zakrętów ścieżki, znikająca ci z oczu, to ukazująca się im znowu, a zawsze tak wysoko wzniesiona ponad pobyt nasz zwykły, ponad domy i mieszkania ludzkie, jakie znasz, a tak zawsze dla wzroku twego przyłgnięta do ściany skalistej, jak gdyby była wyrzeźbiona z jej głazu, nie chce, nie może przedstawić się wyobraźni twojej, jako uboga osada górali, strzelców i pasterzy kóz, ale koniecznie wyrasta ci na jakowysy zaklęty gród, którego mieszkańcy, czy wygnani, czy uszli zpośród zwykłych ludzi i czarem jakimś otoczeni, czekają godziny wyzwolenia, która ma dla nich wybić i może wybić dziś, jutro, w tej chwili właśnie.

Tymczasem, przysuwając się bliżej, możemy dokładniej przypatrzeć się strukturze otaczających wieś murów i widzimy, że tworzą one albo doskonałe koło, albo łuk, którego cięciwą jest skalista turnia, tak, że trzeba obejść mur ten naokoło, zanim dostaniemy się do bramy. Obwarowanie to ma w górze okna, bo też nie jest to tylko wał obronny, ale mur tworzy zarazem ścianę tylną dla całego rzędu domów, połączonych tak razem dla wspólnej obrony rodzinnego swego miejsca, jak gdyby to był poczet rycerzy w pełnych zbrojach, którzy się wzięli za ręce i utworzyli pierścień, zasłaniający to, czego strzedz mają. Zwykle jest w murze takim bram dwie; przecież bywa ich niekiedy trzy, cztery nawet, w miarę położenia miejsca i łatwiejszego lub trudniejszego przystępu. Nadzwyczaj to jest rzadką rzeczą, aby jakiś nowy budynek przybył poza obrębem ochronnego wału, co dowodzi, że osady te nie rozrastają się wcale, że są takimi zupełnie, jak w chwili powstania swego. Miejscowość warunkowała tu zwykły plan budowy; bo w czasach, gdy wsie te powstawały, człowiek nie ważył się jeszcze na to, aby natura ustępować mu musiała. On jej ulegał i wskutek tego wsie te przedstawiają wielką różnorodność. Jedna, to długa, wązka ulica, zajmująca grzbiet ostrego występu skały, grzebień, jak się tam zwykle mówi, a mająca z drugiej strony stok przepaścisty; druga otacza wierzchołek góry koniecznego kształtu szeregiem dachów, koloru sepii, albo pnie się po załamach skały z zuchwałością akrobaty. Taki jest góralskich tych wiosek wygląd zewnętrzny, ale każda z nich ma swoje wewnętrzne tajemnice, które tem ciekawiej nęci, im jest szersze przed wzrokiem przechodnia zakryte. Przebiewszy ciemną arkadę najbliższej bramy, wchodzimy w ulicę wązką i stopniami podnoszącą się w górę, jak gdyby to były kamienne, strome wschody. Kobiety, które na progach domu przędą wełnę, wedle starożytnego sposobu, na przęślicach i wrzecionach, podnoszą na nas wzrok zadziwiony, lecz poważny, a dzieci, ciekawe, lecz nieśmiałe, idą w tyle za nami. W Toskańskich Apeninach nigdy nie poproszą podróżnego o pieniądze, a nawet rzadko kiedy chcą przyjąć zapłatę za wyświadczoną mu usługę. W dzień powszedni mężczyźni nie ma wcale we wsi, ale w niedzielne popołudnie siedzą na przymurkach lub progach domów, albo w koszuli i krótkich spodniach płóciennych leniwie się wyciągają na małym placu, ku, piazzecie wioski. Domy są mocno zbudowane z kamienia, czarne od rdzy czasu, a rzadko które, tylko należące do zamożniejszych rodów, przyjęły innowacyę oszklonych okien. Po większej części drewniane okiennice ochraniają mieszkańców od wpływów zewnętrznego powietrza, jego burz i niepogody. Wewnątrz jest w nich przecież wygodniej i czystiej, niż to można przypuszczać z zewnątrz. a głównie znajduje się tu wszędzie szacowny przepych — przestrzeń, której ubogiemu braknie wszędzie, prócz może jednych górali włoskich. Po znużeniu i mozolnem dostaniu się tutaj bardzo nam był miłym odpoczynek na drewnianej ławce malej gospody i ochładzająca czaraka kwaśnego wina z miejscowych winnic, ale niedługo mogliśmy rozkoszować się tem wszystkim, ponieważ postanowiliśmy sobie przedrzeć się przez zarośla jeżyn i powojów do starej, feudalnej wieżycy, która wyżej jeszcze wznosiła się ponad wioską. Ona to była powodem, że wioska ta zbu-

dowaną tu została, była racją jej bytu; przecież ze zmianą okoliczności stała się tylko znakiem przeszłości wśród krajobrazu, albowiem lud włoski ledwo że zachował wspomnienie o jej dawnych mieszkańcach. To, co było górą, wymarło, zniknęło ze świata, a niższa warstwa utrzymała się spokojnie i czerstwo.

Dźwiga się jednak dumnie stary ten budynek, jeszcze panujący biednym dachom, które przytuliły mu się u stóp, szukając oparcia i obrony rycerskiego oręza. W tych czasach, kiedy ją budowano z głazów surowych, ludzie musieli myśleć dla mieszkania swego o innych, ważniejszych niż estetyczne, względach; niemniej natura i mimowolny instynkt ludzi, żyjących wśród tej natury, sprawiły, że piękno znajduje się tu wszędzie, jak gdyby mieszczono je na planie pierwszym. Wieżycą, którąśmy przyszli oglądać, podniosła w wysokim stopniu wspaniałość i poważny, dziki wdzięk krajobrazu i zarazem ustawiła się tak, że nie było straconem dla niej nic z surowego miejsc tych uroku. Wieża nie była jeszcze ruiną w całym znaczeniu tego słowa, ale stała się pustką bezpańską, której nikt nie pożałował i nie żałował. Dziwnem zrządzeniem, jak gdyby fatalności jakiejś, ani jeden ze starych rodów szlacheckich, które panowały górą i doliną tutejszą, nie ostał się, nie zostawił potomka krwi i nazwiska swego: wszystkie wygasły; gdy tymczasem są rodziny wieśniacze od niepamiętnej przeszłości żyjące tu, ojciec po synie, na jednym i tamsamym miejscu. I tak: Soffredinghi, Corvoresi, Lupare, to tylko nazwiska żyjące w kronikach i podaniach; po wszystkich tych królach gór, samowładcach wąwozów apenińskich, zostały tylko domy ich puste, które teraz służą za obory dla wielkorożnego bydła rasy miejscowej, za owczarnie dla trzód czarnych owiec górskich. Drobny lud został na gruncie, który odziedziczył po nich, a rody dumnych *valvassori* zniknęły z powierzchni ziemi.

Valvassori, to kasztelanowie górscy, będący w feudalnej hierarchii lombardzkiej kasztelanami najniższego stopnia; wyżej nad nich byli podniesieni *Cattani*; gdy przecież rody te wygasły, dzieje ich czynów i działalności publicznej zaginęły dla wewnętrznej historii Włoch, gdyż istnieją jedynie podania, sprzeczne ze sobą i ubrane w te barwy legendy, które lud maluje wszystko, co w pamięci swej przechowa i czemu daje też swój charakter. Lud tutejszy to niewątpliwie jeszcze Latini i jak urobił wedle swego kształtu i wessał w siebie wszelki zabór obcy, tak też uczynił i z tą częścią historii, której został depozytariuszem: dał podaniu swój charakter, dając faktom kolorysty myśli i uczuć swoich. O daty pytać już próżno: „Ai tempi dei nostri antichi“.... oto wszystko, co każdy i wszędzie ci odpowie, skoro tylko rzecz przechodzi czasy pamięci żyjącego pokolenia. Czy temu lat sto, lub tysiąc.... to wszystko jedno: —Ai tempi dei nostri antichi!...

Badaniem starannie historią jednej z tych wiosek nadpowietrznych, zawieszonych o 2,000 stóp po nad doliną, odległej na mil kilka od gościńca. Rozłożona wśród samotności osobiście malowniczej, zamyka ona sobą parów, który na tych wyniosłościach stanowi jedyne przejście wodzące w okolice Modeny, a mieszkańcy przechodzą bardzo ciekawe podania co do najścia ich przez Lombardów i oporu, jakie im stawiali. Raz wioska została zdobytą i zajęta przez najeźdźców, aż ludność miejscowa, wspomóżona przez jednoplemiennych sąsiadów, wróciła w większej sile i z kolei wygnała zwycięzców, zapędziła ich w głąb jaskiń, znajdujących się między górami, po drugiej stronie parowu, i tam wymordowała wszystkich. Od tego czasu w każdą noc burzliwą, gdy biją pioruny, lub wicher świszczący, duchy pobitych wydają straszne krzyki i jęki żałosne, mające siłę taką, że jeżeli ktokolwiek z mieszkańców wioski, zapóźniony w drodze do domu, przechodzi tamtędy, staje się nagle nieruchomym i niemym: nie może się ruszyć, ani odezwać aż do wschodu słońca, przywiązany do miejsca przez urok, którego nie przemódz nie zdoła. Nawet zwierzęta doznają na sobie działania tegosamego czaru: osioł, na przykład, którego by zaskoczyła noc w pobliżu jaskiń owych, nie ucieka, ani zary-

czyć może.—Pewno w noc burzliwą, w czasie dzikiego starcia się żywiołów nastąpił mord owych nieszczęśliwych: oto dykcyą dzisiejszych mieszkańców wioski. — Wydziercy cudzej własności są teraz duchami pokutującymi tam, gdzie poginęli, lecz Bóg upomina się do dziś dnia za krew w uniesieniu mściwem zbyt srogo wylaną.

Nazwisko tej wioski jest Montefegatesi i istnieje tu jeszcze jedno, inaczej wruszające wspomnienie miłości górali tutejszych do ich gór rodzinnych. Na drodze do wioski wznosi się pomiędzy kasztanami krzyż drewniany, postawiony tu na pamiątkę Antoniego Peci, który na tem miejscu znalazł śmierć. Było to w 1864 r. Antonio był człowiek ubogi i dla zrobienia majątku popłynął do Ameryki wraz z dzieckiem jedynem, córeczką małą; gdy przecież zarobił sobie trochę grosza, ogarnęła go taka tęsknota do miejsc rodzinnych, że zabrał się natychmiast z powrotem, lecz na nieszczęście zachorował w drodze ze znużenia. Było to już we Włoszech, już niedaleko od Montefegatesi, i namawiano go, aby zatrzymał się trochę, trochę odpoczął i wyleczył się z pozerającej go gorączki. Nie chciał — odpocznij tylko tam w stronach rodzinnych, którego powierze i woń, zawierająca z hał wyniosłych, uzdrowi go. Więc też, wsadziwszy na osła córkę i złożywszy obok niej tłumoczek wędrowny, szedł, wspinał się pod górę, lecz, gdy już był tak blisko, że za kilka chwil byłby ujrzał miejsca drogie sobie, zachwiał się biedak i padł, umarł na miejscu. Osioł, niosąc na grzbiecie dziecko i rzeczy, przyszedł do wioski, płacz dziewczynki oznajmił ludziom, co się stało, ale daremnie już pośpieszono go cucić. Spoczął przynajmniej w świętej ziemi cmentarza rodzinnego, a ludność wioski wzniosła na miejscu kędy padał, krzyż, na którym krótki, w prostych słowach zawarty, napis podaje pamiątkę wypadku. Każdy wychodzący z wioski i wchodzący do niej widzi krzyż, żegna się i mówi wieczny odpoczynek za duszę biednego wędrowca, który zdążył przynajmniej ledz w ziemi ojczystej. Nikt z wieśniaków Montefegatesi nie rzuciłby też stron rodzinnych, nie wyemigrowałby do Ameryki, do Golkondy nawet — krzyż na drodze stoi i w tył zwraca.

W pamięci górali tych stron najdokładniej utrzymały się wspomnienia wojen domowych, toczonej między jedną wioską a drugą. Opowiadający je dziś jeszcze zapalają się i z ożywieniem, na włoski sposób namiętem, malując obrazy w jaki-to sposób La Rocca bombardowała Lugliano, lub Benabbio strzelało do San Marzio przez wawóz, oddzielający jedną posiadłość od drugiej. Jak duch oddzielności dotąd jeszcze panuje między tym ludem górskim, dowodzi zdarzenie zaszłe temu lat parę. Młoda dziewczyna z wioski Granaioło, położonej między górami na 1,200 stóp ponad doliną Lima, wyszła za mąż za wieśniaka z nizin i gdy zmarła wkrótce, mąż chciał ją pochować, jak należało, w parafii swojej, ale ludność z Granaioło nie chciała zezwolić na to, aby prochy górali spoczywały w grobie wśród nizin i w nocy zrobili najście na dom owdowiałego małżonka, zabrali ciało zmarłej, jakkolwiek ta, umierając, wyraziła życzenie, że chce leżeć tam, kędy mąż połączy się z nią kiedyś i gdzie pochowanem już było ciało jej dziecięcia. Uniesiono zwłoki w góry i pochowano z paradą wielką, ze strzałami i przy rozwiniętej chorągwi gminy na znak tryumfu. Niegdyś zdarzenie podobne byłoby zapaliło ogniem całą okolicę; łącząc się współczuciem z jedną lub drugą stroną, wioska walczyłaby z wioską, miasteczko z miasteczkiem, teraz przecież już w mniej ostrych rysach występowały zawiści te między sąsiadami o miedzę, a raczej o wawóz. Trzeba przytem przyznać, że ludność Apeninów Toskańskich mimo starych tradycji walk domowych należy do najspokojniejszych, najwyższej uobczyjonych ludności na świecie. Zbrodnia zaledwie istnieje między nimi, choć nie ma prawie władzy czuwającej nad porządkiem publicznym w taki sposób, jak w krajach sąsiednich. Dwóch, trzech gwadziistów municypalnych w miasteczku, z dodaną im w razie potrzeby siłą zbrojną kilku karabinierów lub żandarmów w stolicy prowincyi: oto cała maszynerya straży po-

rządu publicznego od Lucca do Pistoja, i to jeszcze urzędy te są, rzec można, honorowemi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Czerwcu 1883 r.

Festyn ogrodowy na Strzelnicy Miejskiej. — Wycieczki do Drohowyża, Morszyńca, Oleska i Podhorzec. — Program obchodu jubileuszowego odsieczy wiedeńskiej. — Pomnik Sobieskiego, projektowany przez Radę Miejską. — Wyścigi konne. — Agitacye wyborcze. — Wybory do Sejmu i do Rady Miejskiej. — Nowy burmistrz. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Obrazy Jacka Malczewskiego. — Sprawozdanie roczne *Macierzy polskiej*. — Trzecie wydanie *Listów J. Słowackiego*. — Monografia profesora Szaraniewicza o starożytnym Haliczu i poszukiwania w tym przedmiocie. — Kommissya Wydziału Krajowego. — *Wspomnienia znad Wilii i Niemna* i pisma rozmaite Edwarda Pawłowicza.

(Dokończenie).

W Wydziale Krajowym odbyło się w tych czasach doroczne posiedzenie obu Rad „Macierzy Polskiej“, wykonawczej i nadzorczej, a ogłoszone z tego powodu sprawozdanie czynności tej instytucji od jej zawiązku po dzień pierwszy Maja b.r., dozwala ocenić obok spełnionej dotąd działalności, także kierunek, w którym na przyszłość rozwijać się po obranej zamierza drodze; jak niemniej trudności, na jakie w wyborze dotychczasowych swych wydawnictw natrafiła.

Obok tego zawiązane już dawniej *Towarzystwo wydawnictwa dzieł ludowych* rozwija dalej gorliwie swą czynność, wydając regularnie co miesiąc swe książeczki w języku polskim i rusińskim, pod redakcyą p. Kazimierza Okaza. Wydańictwo to zgromadziło grupę zdolnych pisarzy ludowych, oddających się wyłącznie temu rodzajowi pisania, posiadających talent i wprawę pisarską w obranym kierunku. Znajdujemy tu najczęściej użytą formę powieściową, najodpowiedniejszą w tym razie; gdyż, jak z całego szeregu wydawnictwa tego widać, zadaniem jego głównem jest podniesienie moralne ludu, uszlachetnienie jego pojęć etycznych i społecznych, podczas gdy „Macierz“ ma rozleglejsze cele szerzenia oświaty specjalnej we wszystkich kierunkach wiedzy elementarnej, na gruncie praktycznych potrzeb ludności, tak wiejskiej, jak miejskiej. W jednej z ostatnich książeczek niniejszego wydawnictwa przedrukowano parę powiastek zmarłego przed laty kilkunastu, nieodżałowanej pamięci, młodego Walerego Łozińskiego. Jego *Ludzie zpod słomianej strzechy*, zawierający cały cykl powiastek ludowych, mogą służyć po wszystkie czasy za wzór, jak należy pisać dla ludu, aby trafić do jego pojęcia, nauczyć go i uszlachetnić. Jakoż był to bardzo dobry pomysł ze strony obecnego wydawnictwa, aby je tutaj, jako cenne pomiędzy innemi, ziarnka pomieścić.

Z innych wydawnictw literackich mamy dziś do zapisania nowe, trzecie już wydanie *Listów Juliusza Słowackiego*, w dwóch tomach nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. Zawiera ono, podobnie jak poprzednie, listy do matki, do malarza Wojciecha Stattlera, a nakoniec korespondencyą pomiędzy Słowackim a Zygmuntem Kraśińskim, rzucającą nadzwyczaj ciekawe światło na różnice usposobień i organizacyą umysłową obu tych ludzi niezwykłej miary, obdarzonych iskrą prometejową. Nic bardziej od podsłuchanej, że tak powiem, w ten sposób poufnej rozmowy, nie odsłania głębi duszy człowieka i autora, występującego tutaj w całej szczeroci, nie na autorskim koturnie, z wszystkimi odcieniami swych przekonań i wyobrażeń, z wszystkimi skrytościami serca i umysłu, nie przeznaczonemi dla szerokiej kół publiczności. Ztąd to bywa zawsze korespondencya ludzi znakomitych ciekawą i ważną ilustracyą ich dzieł, co szczególnie o korespondencyi niniejszej Słowackiego da się powiedzieć.

Tażsama księgarnia wydała bardzo pod wzglę-

dem naukowo-historycznym zajmującą pracę tutejszego profesora uniwersytetu Szaraniewicza o dokonanych przez niego wykopaliskach i będących w toku dalszych poszukiwaniach w celu odgrzebania szczątków pierwotnego Halicza. W wydanej przed laty kilkunastu rozprawie rozwinął prof. Szaraniewicz hipotezę, osnutą na wyszukiwanych przezeń podaniach i wzmiankach kronikarskich, że pierwotny, starożytny Halicz rozciągał się opodal od dzisiejszego miasta w innym miejscu na rozległej przestrzeni, gdzie obecnie szczere pola i pamiątkowe pozostały uroczyska. Ostatnimi czasy przypadkowo natrafiono w tych właśnie miejscach na szczątki fundamentów, a podjęte w ślad tego poszukiwania prof. Szaraniewicza, potwierdziły świetnie jego hipotezę, gdy odkopano z kolei więcej jeszcze innych murów, będących fundamentami dawnych cerkwi opisanych przez kronikarzy. Dzieło prof. Szaraniewicza, objaśnione dołączoną mapą dzisiejszego i dawnego Halicza, tudzież odkopalisk obecnie dokonanych, ciekawe i ważne pod względem archeologiczno-historycznym, jest zarazem wskazówką do prowadzenia dalszych poszukiwań. Sejm ostatni, uznając archeologiczną ważność tychże, przeznaczył w tym celu na rok bieżący 2,000 guld. z funduszy krajowych, które oddał do rozporządzenia konserwatorowi publicznych zabytków historycznych krajowych p. Wojciechowi hr. Dzieduszyckiemu. Dnia 10 Lipca ma zjechać na miejsce do Halicza pod tegoż przewodnictwem zawezwana przez wydział krajowy kommissya w skład której, oprócz kilku tutejszych profesorów i archeologów, zaproszeni zostali także z Krakowa członkowie akademii pp. Łepkowski, konserwator, i malarz prof. Łuszczkiewicz. Kommissya ta rozpatrzy roboty już dokonane i orzecze swe zdanie co do dalszego ich prowadzenia.

Nakładem autora wyszły w jednym tomie pisma rozmaite, po większej części treści estetycznej, Edwarda Pawłowicza, dyrektora Muzeum Zakładu im. Ossolińskich. Główne tu miejsce zajmują powtórnie już w niniejszem ogłoszone wydanie nadzwyczaj sympatycznie skreślone *Wspomnienia znad Wilii i Niemna* z czasów młodości autora i najświetniejszej epoki Uniwersytetu Wileńskiego. Obok tych wspomnień, które z powodu więcej z nich prawdy życia i ujmującej prostoty opisu, szczególniejszy mają powab dla czytelnika, jest umieszczonych tutaj kilka rozpraw estetycznych, jako to: *Rzut oka na stanowisko malarstwa polskiego*, niektóre wspomnienia z podróży za granicą, ocenienie kilku znakomitych dzieł sztuki i t. p. w których znajdujemy szeroki pogląd estetyczny i wiele trafnych uwag, wypowiedzianych ze znawstwem i głębokością myśli na-
cechowanych.

Władysław Zawadzki.

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECJ.

— Z zapisu ś. p. Czabanowej, żony Warszawskiego kupca, Tomasza Czubana, powstały przy Uniwersytecie Warszawskim dwa stypendya, każde po 300 rs. rocznie, wyłącznie dla farmaceutów.

— *Powszechny Niemiecki zakład schronienia Nauczycielek i Wychowawczyń* wykazał przy zamknięciu zeszłorocznych obrachunków ogromny majątek 1.102.190 marek. Z tego wypada kapitału na Schronienia 854.664 marek, na fundusz pomocy 247.526 marek. Członków stałych posiada Stowarzyszenie 1.056, z tej liczby 24 znajduje się w Schronieniu, Wsparć udzielono 118 członkom, dano zapomogę na podróż do wód leczniczych 67 członkom w summie 5.130 marek. Przytem 51 członków, znajdując się w wyjątkowo uciążliwym położeniu, nie opłaciło składek, co do których udzielono im prolongaty, a powstały ztąd niedobór w summie 2.488 marek, pokryto z funduszy pomocy. Wydana na wsparcie summa wynosi 7.618 marek. Na rok bieżący kuratorium stowarzyszenia wyasygnowało na wsparcie niezamożnych nauczycielek 8.000 marek.

— W Wiedniu Dom Stowarzyszenia Nauczycielek i Wychowawczyń umieścił w czasie uplynionego roku wszystkie wychowawczynie, które za jego pośrednictwem szukały zajęcia, oraz wielu nauczycielkom, które w celu wyższego kształcenia się przybyły do Wiednia, pobyt tam, przy szczupłych środkach, ułatwił. Majątek stowarzyszenia podniósł się o tyle, że w bieżącym roku będzie mógł sędziwym nauczycielkom, które już pracować nie mogą, i młodym, które wyżej kształcić się pragną, zapewnić tanie i wygodne pomieszczenie w domu stowarzyszenia.

— W saskim mieście Apolda zostanie otwarta z dniem 1 Października bieżącego roku wyższa szkoła żeńska handlu i rzemiosł. Szkoła zostanie pod nadzorem saskiego ministerium stanu; opłatę szkolną ustanowiono na 120 marek rocznie.

— W Styczniu bieżącego roku młoda para nowożeńców, Jan i Barbara Sturzenegger, udała się w podróż poślubną do Włoch, gdzie podczas przejazdu koleją żelazną przez tunel Giovi została napadniętą przez zbrojczy. Mąż zrabować się nie dając, stawiał silny opór i kluty sztyletami zbrojczy, byłby śmierć poniósł, gdyby żona, zrywając krzykiem pomocy, nie rzuciła się między męża a żelazo morderców, nadstawiając pierś własną, w którą otrzymała dwa ciężkie pchnięcia. Uratowała przecież męża, bo pomoc nadbiegła, i obecnie rządowa kommissya włoska, rozpatrująca czyny mężstwa i poświęcenia cywilnego, przyznała młodej małżonce medal złoty. Mąż dostał srebrny, za opór, który mężnie stawiał, z uwagi, że gdyby zbrojcy znajdowali go wszędzie, zuchwałość ich nie posuwałaby się tak daleko. Dzienniki genueńskie wynoszą bardzo wysoko mężstwo kobiety, była to przecież miłość tylko, która jest zawsze mężna, gdy prawdziwa.

— W Paryżu Collège de France professor Séguard odbywał wiewisekcyę na osle, zaniedbawszy zapewne znieczulić nieszczęśliwe zwierzę, które też wydawało pod nożem jego przerażające ryki. Aby to usunąć i nie przerywać sobie operacji, professor zabierał się uciąć mu język, gdy wtem pomiędzy przytomnych wybiegła młoda kobieta, studentka, czy wolno słuchająca, i uderzyła go w twarz parasolką. Policya została zawezwana i zapewne rzecz przejdzie na drogę Policji Poprawczej.

W Anglii, gdzie przeważnie za sprawą kobiet wiewisekcyę zostały przez akt parlamentu poddane pewnym ograniczeniom, Dr de Cyon wystąpił w Kwietniu roku bieżącego z ostro napisanym, a w piśmie londyńskim *Contemporary Review* pomieszczonym artykułem, przeciw temu mieszanu się kobiet w sprawy naukowego znaczenia, dodając, że to stare panny, dewotki protestanckie, które, niemając, jak katolickie, różańca do odmawiania i nie wiedząc gdzie podziąć czułość swoją, wdają się tak w nieswoje rzeczy. Inne pisma angielskie odpowiedziały zaraz wtedy na tę zaczepkę starych panien, że to z liczby takich „niewiedzących gdzie podziąć czułość swoją” wyszły w Anglii takie zasłużone ojczyźnie i ludzkości filantropki, jak: Florencia Nightingale, Marya Carpenter, Henryka Martineau i wiele innych. Obecnie *Times* zamieścił uwagę, że Francuzka, która uderzyła okrutnego profesora, jest młodą i ma być piękną, a mimo to, serce jej oburzyło się na akt bezlitościwego postępowania.

— Posagi dwóch sławnych kobiet francuzkich: de Sévigné i Roland, zdobiące, między innymi, ratusz paryżski, zostały obecnie odsłonięte.

— Nowe sanitarne stowarzyszenie, założone w Genewie pod tytułem *Ludzkosc*, a mające na celu popularyzowanie wiadomości higienicznych, szczególnie pod względem warunków życia w rodzinie, wzywa kobiety wszelkich narodowości, wszelkich religii, aby zechciały przystępować do stowarzyszenia. Instytucja ta nie jest bynaj-

mniej kobiecą wyłącznie, tylko kładzie ona nacisk wielki na to, że prawdziwie higieniczny układ życia może nastąpić wtedy tylko, gdy kobiety pozbędą się grubej niewiadomości pod względem pojęć higienicznych i zasad zdrowego urządzenia domów. Sekretarzem stowarzyszenia jest August Vodoz, mieszkający w Genewie, Rue de Voiroux, Nr 10. Roczna składka członka jest pół franca miesięcznie albo 5 franków rocznie. Członkowie obojczy płci używają jednakowych praw.

— Córka uczonego przyrodnika, Agassiz'a, Mrs Paulina Schow, mieszkająca w Ameryce, w Bostonie, założyła w temże mieście i utrzymuje trzydzieści freblowskich ochronek, gdzie uczęszcza stale 1.800 dzieci, od lat 2 do 6. Oprócz tego Paulina Schow, założyła, w Bostonie również, dziewięć żłobków, przyjmujących 400 niemowląt. Wydatek roczny tych trzydziestu dziewięciu zakładów, urządzonych wzorowo, wymaga obrotowej summy 500.000 franków, lecz, zająca filantropka, poświęcona dziełu swemu duszą i ciałem, umie tę ogromną sumę sobie znaleźć. Ochroniarki nie pracują w klasach więcej nad trzy godziny dziennie, lecz zdaniem fundatorki, praca ich jest tam tak ciężką, skoro dobrze spełnianą będzie, że dłuższe zajęcie byłoby z jednej strony niehumanitarnym męceniem nauczycielki, z drugiej strony umniejszeniem dzieciom należytego pożytku z nauki. Zadanie nauczycielek w ochronkach bostońskich jest o wiele trudniejsze niż gdzieindziej, albowiem jednym z celów filantropijnych Mrs Schow jest przyjmowanie dzieci wychodźców różnych narodowości i wyuczanie ich w ochronkach języka angielskiego. Sama córka wychodźcy, — Agassiz był z urodzenia Szwajcarem — ma ona szczególnie miłosierne serce dla wszystkich wychodźców i wiedząc jak dobra znajomość języka angielskiego ułatwia przybywającym do Ameryki życie i znalezienie sobie pracy, pragnie znajomość tę szerzyć między drobną działy wychodźców. A staranność jej posuwa się tak daleko, że wchodzi w stosunki z matkami przyjmowanych dzieci i działając na ich umysłowość, rozszerzając zakres ich pojęć w kierunku pedagogicznym, pragnie w ten sposób zaprowadzić zgodność potrzebną między wychowaniem domowym, a tem, które daje szkoła. Wskutek tego Mrs Schow urządza corocznie kurs konferencyi, czyli pogadanek pedagogicznych, na które matki dzieci zapraszane bywają i nawet obowiązane są uczęszczać na nie regularnie, jeżeli tylko zajęcie ich pozwala na to. Przytem nauczycielki obowiązane są odwiedzać je i dowiadywać się, jakim jest ich położenie, i w jakim stopniu potrzeby dziecka mogą być w domu zaspakajane. Nauczycielki pobierają pensyi rocznej od 600 do 700 dolarów, co znaczy 3.000 do 3.500 fran. Istnieje w Bostonie szkoła normalna ochronek, otwarta corocznie przez pięć miesięcy: od Listopada do Marca.

Oprócz ochronek Mrs. Schow otworzyło stowarzyszenie pań bostońskich dwanaście ochronek dla dzieci rodzin zamożnych, co jest krokiem fałszywym, bo dziecko małe rodziny zamożnej powinno uczyć i chować się w domu i matka oddająca je poza obręb własnej czujności, własnej staranności wychowawczej, jest złą matką, która się grzesznie wyswabada z najświętszego obowiązku macierzyństwa. Jedno tylko położenie może kobietę tu rozgrzeszyć: jeżeli, na przykład, zmuszona jest na utrzymanie rodziny poza domem pracować, a należąc do wyższej klasy towarzysztwa, pragnie zapewnić dziecku swemu wychowanie się w takich warunkach, jakichby ono znaleźć nie mogło wśród dzieci klas niższych. Jeżeli też ochronki bostońskie z myślą o takich położeniach otworzone zostały, zaliczyć je trzeba do pożytecznych zakładów wychowawczych; lecz należy tu dodać, że te matki, które się wyzuwają

z obowiązku wychowania dzieci w domu, dla pracy, dodając im, lub rodzinom nawet, coś zbyt wysokiego dobrobytu, tego komfortu, który stał się dziś bożyszczem, nieznanem dawniej w życiu rodzin średnio-zamożnych, nie mają one prawa do rozgrzeszenia owego: jest coś wyższego nad używanie, jest wśród obowiązków macierzyństwa coś wyższego nad zapewnienie dzieciom używania tego.

— Członek angielskiej Izby Niższej, Hugon Masson, usiłując w dniu 6 Czerwca przeprowadzić w tejże Izbie bill, przypuszczający kobiety do głosowania przy wyborach do parlamentu, oparł się na proponowanej od lat wielu przez Sturta Milla zasadzie, aby głosującymi były jedynie panny doletnie i wdowy, mężatka zaś dla względów rodziny usuniętą została. Bill tak wniesiony upadł przecież, ale bardzo małą większością 15 głosów; ztąd wnosić należy, że przejście billu przez Izbę Niższą jest już jedynie kwestyą czasu, bo na zgromadzeniu Izby w d. 6 Czerwca, brakło wielu wybitnych członków, popierających sprawę głosowania kobiety. Opponentci billu opierali się na zasadzie, że przypuścić do głosowania mężatkę jest to, albo rodzinę na dwa obozy rozbić i matkę, oraz gospodynię, przemienioną w osobę głosującą, w znacznych bardzo proporcjach od spraw domu i rodziny oderwać, albo też tam, gdzie istnieje przewaga moralna i umysłowa męża, zapewnić żonatemu dwa głosy. Usunąć zaś mężatkę byłoby niesprawiedliwością i poniżeniem tego najważniejszego w narodzie stanu kobiety. Masson odpowiadał im, opierając się zawsze na Millu, że macierzyństwo i małżeństwo daje za to, i zawsze dawać będzie kobiecie przywileje bardzo wysokie i najwyższego w społeczeństwie znaczenia, a przez które jest ona w pełni za usunięcie od głosowania wynagrodzoną. Kobieta matka ma przytem przez wychowanie syna otwartą na sprawy publiczne działalność.

W Hollandyi sprawa głosowania kobiety także wystąpiła, i w bardzo ostrych zarysach. Aletta Jacobs, panna, będąca doktorem medycyny, wniosła do magistratu amsterdamskiego skargę, dla czego jej nazwisko nie zostało pomieszczone na liście głosujących, jakkolwiek posiada wszelkie po temu kwalifikacje: jest pełnoletnią, podatki rządowi i miastu płaci i nie jest pozbawioną praw cywilnych, od wyborców wymaganych. Magistrat skargę jej odrzucił z powodu właśnie, że tych praw cywilnych, na które się powołuje, kobieta hollenderska w całości nie posiada i ma je w jednym tylko przypadku: gdy jako wdowa zostaje opiekunką dzieci swoich. Dr Alleta Jacobs przeniosła rzecz na drogę sądową, ale najpierw znalazła się jakaś nieformalność w jej podaniu i odrzucono je, następnie, gdy zwróciła się ze skargą na takie postępowanie do najwyższej już magistratury kraju, Hoog Raad, odpowiedziano jej, że w zasadach konstytucyi hollenderskiej jawną jest myśl, aby mężczyzna jedynie był wyborcą: zatem nie ma żadnego prawa wdzierania się tam, gdzie prawodawstwo narodowe miejsca jej nie wyznaczyło.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się arkusz 10-ty tomu III-go powieści pod tytułem: *Aż do śmierci*.

TREŚĆ. Siostra miłosierdzia, (poezya), przez L. Sowińskiego. — Kobieta i Dobroczynność, II, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Na Polesiu, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżskie, (dokończenie). — Apenniny, przez P. Ż. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.